№ 26. Wilno, dnia 20 Września 1925 r. Rok I



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Ku czci Wielkiego Króla.

W numerze 19-ym Gwiazdki opowiedzieliśmy Wam, kochani Czytelnicy, o 900-letniej rocznicy koronacji pierwszego Króla Polski, Bolesława Chrobrego. Dowiedzieliście się dlaczego imię tego Króla jest drogiem dla nas Polaków, za co go czci dotąd naród i rocznicę jego koronacji po 9-ciu wiekach wspomina z dumą.

Dziś donosimy Wam, że w starem Gnieźnie, w Wielkopolsce, tam, gdzie ongi znalezionem zostało gniazdo Białego Orła, odsłonięty został w sobotę, d. 12 września pomnik: Króla Bolesława Chrobrego.

Stoi on przed starą katedrą gnieźnieńską, w której spoczywają zwłoki św. Wojciecha, przyjaciela i pomocnika Bolesława Chrobrego w szerzeniu wiary świętej.

Pomnik odlany z bronzu: przedstawia Króla w ówczesnej zbroi, okrytego płaszczem królewskim i w koronie

złotej na głowie. Lewa ręka Króla zatknięta jest lekko za pas rycerski, w prawej zaś silnie trzyma głównię potężnego miecza.

Pomnik królewski odsłonił Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski, w obecności biskupów i dostojników polskich. U stóp pomnika ustawiły się delegacje stowarzyszeń, bractw, powstańców, weteranów i t. d. Wszędzie powiewały polskie sztandary. Plac cały przed katedrą wypełniły tłumy publiczności. Każdy, kto mógł, śpieszył uczcić pamięć Króla, który Państwo Polskie stworzył i uczynił je wielkiem i niezależnem.

Uroczystość zakończono odśpiewaniem hymnu „Boże coś Polskę“.



Legenda góralska o królu Bolesławie Chrobrym.

— Lat temu już dziesięć setek żył w Polsce, król wielki, największy ze wszystkich jakich mieliśmy: Bolko Chrobry. On to pierwszy wszystkich ludzi podobnej mowy, co to jednem słowem mówili, a przeto Słowianami się zwali, wezwał do walki z Niemcami i precz ich z ziem słowiańskich odrzucił i państwo zostawił wielkie od morza do morza, a od gór węgierskich i rzeki Odry po rzekę Dniepr.

Król ten z siół wszelakich i z rozmaitych ziem, gazdów *) i chłopów powołał, żeby z nim szli wojować z wro-

*) Gospodarzy.

gami. Mówią też ludzie, że król ten nie umarł, a zasnął tylko. Wprowadził w góry nasze, w Tatry, wojsko swoje i tu kędyś wszyscy posnęli i czekają, kiedy im wyjść przyjdzie.

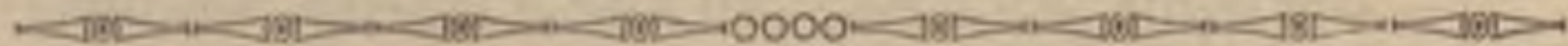
I powiadają, że budzi się król ten, gdy lud płacze, gdy niedola go gniecie... i wychodzi z pod ziemi.

Powiadają ludzie, że ostatni raz Go widzieli, gdy wielkie nieszczęście na Nowotarską spadło dolinę. Wtedy to wody tak zalały ziemię, że tylko wierzchołki Pienin *) z nich sterczały. Nie stało ziemi ni kęsa, ludzie wszyscy pouciekali, nędzę i głód cierpieli, bo ziemi świętej do żywienia nie stało.

Wtedy z przepaści wyszedł olbrzym straszliwy, a był to sam król, co z rycerstwem śpi pod skałami. Gdy na reglach stanął i wsparł się o Giewont **) nie wytrzymał wierzch mocy olbrzyma, pękła skała i Giewont się wyszczerbił.

Wstał król, głową aż chmury dotknął, w chmurach błyszczała jego złota korona. Król stanął na szczytach gór, jedną oparł na Garłuchu, a drugą na Babiej Górze ***). Podniósł w górę miecz ogromny i rąbnął z całych sił w Pieniny. Prysła skała, rozpadła się i tak powstały Trzy Korony ****). Woda w szczerby uleciała i odtąd Dunajcem z Pienin spływa, leci do Wisły, z Wisłą do morza, a góralom została żyzna ziemia.

Opowiadał młynarz Czerniak
z Maniowców.



J. Bogusz.

Straszne przygody Antka na falach Bałtyku.

(Ciąg dalszy).

Po dwudniowym pobycie w Gdyni i pierwszem zapoznaniu się z morzem, tem „naszem kochanem morzem“, jak je zwali Antek i Stef, podróżni nasi wyruszyli do Pucka. Czekała ich tam miła niespodzianka. Przy wysia-

*) Góry polskie.
**) Szczyt wysoki w Tatrach.
***) Garłuch i Babia Góra nazwy szczytów w Tatrach.
****) Szczyt w Pieninach.

daniu z wagonu ujrzeli wuja Borskiego z trzynastoletnią córką, Tosią.

— Przyjechaliśmy tu was spotkać i zabrać do wspólnej chałupy, mówił wuj ściskając Antka i jego matkę.

Tosia nie znała dotąd ciotecznego brata, poznanie jednak rychło nastąpiło, a gdy z kolei Antek przedstawił jej Stefa, podała mu rękę serdecznie.

— Przyjaciele naszych przyjaciół, są i naszymi przyjaciółmi, powiedziała uprzejmie dziewczynka, a im nas więcej jest, tem i weselej. Powiadam wam, że cudownie jest na Helu.

— A tu chyba nie, zawołał Antek, ja wprost oczy wypatrzyłem wpatrując się w morze i tu i w Gdyni.

— Dopiero je zobaczysz w całej wspaniałości tam u nas, mówiła dziewczynka, tam przecie jest *Wielkie Morze*.

Tosia dumną była z tego, że o wiele lepiej zna się z morzem, niż obaj chłopcy. Rodzice jej mieszkali pod Poznaniem i od trzech lat cała rodzina spędzała wakacje nad morzem.

— Mieszkaliśmy raz w pobliżu Gdyni, mówiła, następne lato spędziliśmy, tu pod Puckiem, w prześlicznej wsi w Rzucewie. Ale najładniej jest w Bocianiej Górze, tam gdzie w tym roku spędzimy wszyscy lato.

Antek zwierzył się zaraz na wstępie Tosi, że on pewno już morza nie opuści, będzie prosił rodziców by mu pozwolili zostać marynarzem.

— A właśnie w Tczewie jest szkoła morska, zawołała Tosia. Zazdroszczę ci, gdyby dziewczyny mogły być marynarzami, zaraz bym rodziców prosiła o umieszczenie mnie tam.

Pan Borski, wołał na młodzież, by szła z nim nad morze. Naturalnie, że i p. Roińska poszła razem.

— Stoimy tu w miejscu bardzo drogiem dla serc naszych, mówił p. Borski, gdy się już znaleźli w przystani. Tu w końcu wieku szesnastego i w siedemnastym, za panowania Zygmunta III, a potem syna jego Władysława IV była przystań polskich okrętów wojennych. W tamtych odległych czasach, po morzu Bałtyckiem pływały wojenne okręty polskie. Ponad niebieskiemi falami morza, powiewały biało-czerwone chorągwie z Orłem

Białym. Była też i flota handlowa polska, ale okręty kupieckie, miały inną banderę — dwa białe krzyże z koroną złotą, na tle czerwonem.

— Przepraszam pana, rzekł Stef, ale przecie i dawniejsi królowie polscy władali brzegami Bałtyku.

— Słusznie mówisz, chłopcze, odparł p. Borski, pierwszy nasz król, wielki i mądry Bolesław Chrobry, Pomorze połączył z Polską. On te kraje zamieszkane tak samo jak Polska, przez Słowian, do wiary Świętej nawracał. On bronić je chciał od największego wroga tak jak i Polski od Niemców. Potem w ślady jego szedł Krzywousty. Żaden jednak z tych dzielnych naszych królów, nietylko okrętów, ale i łodzi swych na Bałtyku nie miał. Nic w tem dziwnego,bo państwo Polskie w tamte czasy było małe i trudno było przy ciągłych wojnach i opędzaniu się od wrogów, stworzyć flotę morską.

Później, jak to wszyscy wiecie, za czasów Władysława Łokietka, Krzyżacy, praojcowie dzisiejszych Prusaków, zabrali zdradziecko Pomorze. Przez półtora wieku pod jarzmem ich zostawała ta ziemia. Ucisk ludu był tak wielki, że sami Pomorzanie wyprawili posłów do króla polskiego: Kazimierza Jagiellończyka, prosząc go, by ich ziemię wziął w opiekę. Trzynaście lat toczyła Polska wojnę z Krzyżakami i w końcu Pomorze odzyskała.

— Tu pod Puckiem odnieśli Polacy świetne zwycięstwo nad Krzyżakami w czasie tych wojen, zawołał Antek.

— Była też i bitwa morska pod Elblągiem, dodał Stef. I tam zwyciężyli Polacy.

— A więc już wtedy mieli okręty, wtrąciła Tosia.

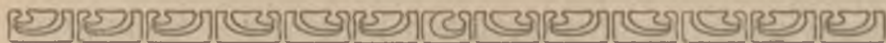
— Nie, odparł ojciec, tę jedyną w dziejach naszych bitwę morską, Polacy stoczyli na statkach kupców gdańskich, którzy chociaż sami Niemcy, nienawidzili Krzyżaków za ich okrucieństwa i z całych sił dopomagali do ich zwalczania.

Po ciężkich dniach upadku i niewoli zaświecił dla Polski Wielki Dzień w r. 1920, gdy 10 lutego tu, znowu w tem miejscu, stanęły zwycięskie wojska Polskie. Poświęconą przez duchowieństwo polskie, banderę przy odgłosie strzałów armatnich wciągnięto na szczyt masztu

pierwszego polskiego okrętu „Pomorzanina“ i Biały Orzeł uniósł się znowu ponad wodami Bałtyku. Na znak zaś złączenia na wieki Polski z morzem, jenerał Józef Haller, w imieniu Rzeczypospolitej rzucił w fale jego pierścień. W ten sposób Polska zaślubioną została z Bałtykiem. Obecny przy tem minister Wojciechowski, dzisiejszy Prezydent Polski wyrzekł te pamiętne słowa:

— „Żadna przemoc, żaden wróg, nie rozerwie tych węzłów, jakie w dniu 10 lutego 1920 r. zostały zawiązane. Tak nam dopomóż Bóg“.

Z błyszczącemi oczyma słuchała młodzież słów p. Borskiego, a gdy skończył, z piersi młodej gromadki popłynęła pieśń: „Nie damy ziemi“. *d. c. n.*



MARJA REUTTÓWNA.

Historja małej wiewiórki.

Po długich dniach deszczu, błysnęło słońce. W ciemnym lesie wśród drzew coś się poruszyło. W gęstwinie splątanych gałęzi zaszeleściły liście i odsłoniły dziwny duży kłębek, niby to kula, niby gniazdo. Pokręcone cienkie gałązki, splecione mocno ze sobą, tworzyły boki i daszek, spodem wyglądało to na duże gniazdo wronie. Po chwili z niedużego otworu tak zręcznie zrobionego, by ani wiatr ani deszcz, nie przeniknął do środka, wychyliła się mała zgrabna główka z ciemnemi ciekawemi oczkami i sterczącemi uszkami, ozdobionemi na wierzchu małemi kitkami. Stworzonko bystremi oczkami spojrzało w prawo, w lewo, a nie widząc żadnego wroga skoczyło z gniazda na wysoką gałęź.— Była to pani wiewiórka „gajów tanecznica“, jak ją nazwał Adam Mickiewicz. O tańcach jednak w tej chwili nie myślała. Usiadła na gałęzi i zadzwoniła ząbkami. Miało to znaczyć:— „Pójdźcie, pójdźcie tu“. Z gniazda skoczyły dwie młode wiewióreczki i usiadły na gałęzi naprzeciw starej.

Matka z przyjemnością patrzyła na dzieci. Udały

się jej. Zdrowe i zgrabne, ślicznie wyglądały siedząc na tylnych nóżkach, z ogonami sterczącemi po nad główkami.

— Widzicie, rzekła matka, słońce świeci, trzeba zabrać się do pracy.

— Ach, westchnęła Rudka, mała wiewiórka, tyle dni zmarnowaliśmy siedząc w gnieździe podczas deszczu, a teraz zamiast pobiegać, poskakać w słońcu, mamy iść do pracy.

— Przy pracy również biegać i skakać będziesz, odparła matka.

— A jak przypadkiem spotkasz kunę, zaśmiał się brat Rudzik, to użyjesz spaceru po drzewach i naskaczesz



się do woli. Słyszałem, że to zwierze jest zażartym naszym wrogiem.

— O tak, potwierdziła matka, niech was Bóg strzeże od spotkania z kuną. Ileż to ślicznych wiewiórek zamordowało to niegodziwe źwierzę. Ja sama ubiegłej wiosny, cudem tylko uszłam z życiem. Straszne to były chwile.

— Opowiedz, opowiedz to nam, matuchno, prosiły obie wiewióreczki.

— Było to w lecie, byliście oboje jeszcze bardzo mali. Otuliłam was w gniazdku, zasłoniłam ze wszystkich

stron i pobiegłam szukać pożywienia. Głodna byłam, karmiłam przecie was dwoje. Musiałam więc i sama dobrze odżywiać się. Skacząc po drzewach, dojrzałam w małem gniazdku ptasiem cztery jajeczka. Doskonałe śniadanie. Zanim jednak dopadłam do wiszącego w krzakach gniazdka, ujrzałam duży łeb i złe oczy kuny. Widocznie i ona chciała się pożywić jajeczkami. Nie było czasu do stracenia, trzeba było uciekać co sił. Skoczyłam do góry na wierzchołek drzewa. Kuna dojrzała mnie i dalej że w pościg. Nie wiem jak długo trwała moja ucieczka, już nie skakałam, ale przelatywałem wprost po nad wierzchołkami drzew, a ona wciąż mnie goniła. Czułam, że słabnę, że siły mnie opuszczają. Kuna większa, silniejsza, dłużej biegać może. Już, już mnie chwytały jej ostre zęby.—Rozpacz dodawała mi sił. Musiałam bronić nie tylko swego ale i waszego życia. Bez matki zginęlibyście. Zdecydowałam się na ostateczny krok. Wybiegłam na najwyższą jodłę,tam podparłam się mocno ogonem, jak piątą nogą i buch na ziemię...

— A kuna co? zapytał Rudzik.

— Została na drzewie szkaradna drapieżnica, rzekła Rudka.

— Wcale nie, opowiadała dalej matka. Skoczyła za mną na ziemię. Ale kuny ogon nie jest tak sprężysty jak nasz, cięższa przytem, zawsze po takim skoku jest trochę oszołomioną. Nie dojrzała więc, w którą stronę pobiegłam. Wdarłam się znowu na drzewo i tak przemykając z jednej jodły na drugą, krętemi ścieżkami, by nie odkryć wrogowi naszej siedziby, dobiegłam do gniazda.

— Biedna mateczko, jakiegoż ty wtedy strachu użyłaś, mówiła Rudka i skoczywszy do matki, przytuliła się do niej.

Stara wiewiórka musnęła pieszczochę ogonem po łebku.

— Oj że tak, rzekła, przez dwa dni potem nie ruszałam się z gniazda i wasz ojciec musiał mi przynosić pożywienie. No, ale dość tego gadania. Czas do roboty, jesień szybko przeminie, a jeśli nie przygotujemy sobie gniazd zimowych, nie uzbieramy zapasów na zimę, to zginiemy z głodu i chłodu. *(C. d. n.).*